Z rodzinnego albumu.
Życie
pod zaciemnieniem.



Mama z małą Elą, Zamość 1925 r.

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Od początku okupacji zapanowały ciemności. Te z nakazu

hitlerowców i te wypływające z konsekwencji wojny. Elektrownia miejska została rozebrana na części i wywieziona, czy też na miejscu ukryta przez jej pracowników, by nie dostała się w ręce niepowołane i nie poszła na armaty. Powszechnie obowiązywało zaciemnienie wszystkich możliwych okien, źródeł światła. Wyprodukowano nawet specjalny papier w ogromnych arkuszach i zwojach na rolety czarne, grube, nie przepuszczające ani smugi światła. Pilnowała tego policja i sypano wysokie kary, a nawet groziło więzienie, tortury na Gestapo, czy śmierć. Miasto tonęło więc w kompletnych ciemnościach i naturalnie obowiązywała godzina policyjna o dwudziestej.

Siedzieliśmy w domu w Hrubieszowie przy jednej lampie naftowej wokół sześcioosobowego stołu. Każdy coś robił. Mama cerowała skarpety babci, nasze pończochy, grube i wełniane dolne niewymowne, których był deficyt. Przerabiała i łatała nasze okrycia, ponieważ szybko wyrastaliśmy i zdzieraliśmy chodząc ciągle w tym samym. Mundurki były zakazane. Wspomniałam już o koncesji na sprzedaż papierosów, którą mama otrzymała, ale *de facto* zajmował się tym Witek. On to wystawał w kolejkach do hurtowni monopolistycznej spółki HERBEWO (od początkowych liter nazwisk trzech wspólników), działającej jeszcze przed wojną. Kto nie żył w tych czasach, ten nie będzie wiedział, jaka to była ważna sprawa dla palaczy, a większość ludzi, zwłaszcza mężczyzn paliła. Nigdy nie zapomnę tej kolejki pod kioskiem, w którym była drewniana, ładnie zaprojektowana budka wielkości

małego namiotu, z dachem namiotowym zakończonym ozdobną sterczyną. W połowie ścianek były witryny zamykane z zewnątrz okiennicami. Nie było tam ani piecyka, ani miejsca do zagospodarowania. Ot, taki letni kiosk na lody używany tylko latem. Ale z tym większego problemu nie było, ponieważ papierosów otrzymywał brat minimalną ilość. Mimo to nie uniknięto reglamentacji. Rzucała się ta wygłodniała masa obszarpanych, biednych zgłodniałych nikotyny i bijąc się, rozpychając szturmem zdobywała jak najdogodniejszą pozycję, aby tylko nie utracić tych dziesięciu sztuk najmocniejszych papierosów. Drżące, zmarznięte dłonie wyciągały się i chowały gniotąc cenną zdobycz. Stawali w kolejce jeszcze, i jeszcze raz, teraz już spokojni i syci. Pogodzeni, a nawet uśmiechający się do siebie, jakby życzliwsi dla całego świata. Sprzedaż ta nie zajmowała więcej niż godzinę, dwie dziennie. Zarobek wprost proporcjonalny do całego przedsięwzięcia. Nie wiem, czy wystarczył na opłacenie mieszkania, opał i naftę, tej z jakiegoś powodu czasem brakowało i wtedy zdani byliśmy na cuchnący karbid. Czy ktoś z młodych może sobie wyobrazić sześcioosobową rodzinę zmuszoną do wdychania cuchnąco – duszących spalin, małej, ledwie rozświetlającej mrok swym czerwonym, żarzącym płomykiem karbidówki ?

A przecież to wokół tej lampy naftowej, czy karbidowej skupiało się nasze życie, nasze rozmowy, czytanie, odrabianie lekcji, uczenie innych młodych (Ela dawała lekcje), przyjmowanie gości,

gry i zabawy, nasze pasje, zdobywanie wiedzy. Toczyło się normalne życie, chociaż ograniczone, zniewolone warunkami zewnętrznymi, ale wspaniałe i wzniosłe duchowo, intelektualnie, pełne inspiracji, nadziei na koniec wojny i powrót ojca. Wierzyliśmy w to głęboko i modliliśmy się gorliwie.

Uwielbiałam okresy, kiedy była z nami babcia Mania (mama mamy), bo zawsze przygotowała nam, a przede wszystkim mnie, sukienki przerabiane z maminych i Elinych, plotła mi warkoczyki (tylko ona potrafiła mi dogodzić) nie szarpiąc za włosy, wiązała kokardy, a dla wszystkich dzieci robiła przepyszne mleko makowe do kisielków i galaretek owocowych. Z babunią było radośniej spokojniej i nawet chłopcy mniej się kotłowali. Babunia cały czas coś robiła dla nas smacznego. Mama też w tych dniach wyglądała lepiej, śmiała się i opowiadała coś ze swojego dzieciństwa. Dużo ze sobą rozmawiały. A jeśli nie chciały abyśmy my – dzieci rozumiały, przechodziły nagle na język francuski.

Babuni poświęcę osobny rozdział, bo była to wielka osobowość, dama z urodzenia i w każdym calu. Wielkoduszna, wyrozumiała, ciepła i czuła, a jednocześnie zahartowana psychicznie i zaradna. W tym czasie przebywała najczęściej w Wiszniowie u Lili Banaszkiewiczowej (córki cioci Niusi Piątkowskiej, siostry mamy). Rodziły się wtedy kolejne dzieci: Maryla, Andrzej (Ijunia i Eni) oraz Zosia.

Gdy nie było babuni, podporą naszej rodziny stawała się doroślejsza Ela. Filar nie tylko psychiczny, ale i moralny. Wymagająca od młodszego rodzeństwa dyscypliny, wykonywania obowiązków i bycia w domu na czas. Bardzo nie lubiła zwłaszcza moich wybiegów do sąsiadów i to od niej miałam ksywkę „latawiec”. Nie powiem, żebym się tym przejmowała. Ciekawość życia ludzi, którzy mieszkali obok, ich obyczajów, przyznaje, trochę odmiennych od naszych, właśnie mnie pociągała. Eli zakazy i skarżenie do mamy nie pomagały. Do pokornych nie należałam.

Ela była bardzo zajęta. Uczyła się i pracowała w placówce Polskiego Czerwonego Krzyża prowadzonej przez doktora medycyny, Władysława Kuczewskiego, pełniącego również bardzo istotną dla ludności rolę lekarza powiatowego. Pod koniec wojny zabił go Ukrainiec, który udał pacjenta. Cóż to za stratę poniosło całe społeczeństwo. Wypisywał dla swego zabójcy ostatnia receptę. Zginął 28 grudnia 1943 r. Sroga zima, chłód i ziąb niepowstrzymany tłumów dorosłych i dzieci Polaków i Ukraińców w oddaniu hołdu temu wielkiemu człowiekowi, któremu tak wielu, tak wiele zawdzięczało.

Zziębnięta w moim przykrótkim paletku przerobionym jeszcze w 1939 roku z mamy płaszcza i w chuście szydełkowej, uczestniczyłam w pierwszym w życiu pogrzebie, wstrząśnięta, przejęta do szpiku kości. Nie był to zwykły pogrzeb. Ta

manifestacja patriotyczna wyrażała sprzeciw wojnie, Niemcom, zniewoleniu, bezprawnemu panoszeniu się na polskiej ziemi, nienawiści wznieconej i podsycanej przez okupanta. Ale to był zaledwie początek. To co najgorsze miało dopiero nadejść.

***

Wojska niemieckie koncentrowały swe siły wzdłuż linii Bugu. Codziennie transporty przejeżdżały przed naszymi oknami. Zdarzało się, że zabierano nam jeden pokój z niezależnym wejściem na kwaterę dla oficera. Mama mówiła biegle po niemiecku, co było dobrze przyjmowane. Niemieccy wojskowi zachowywali się wtedy uprzejmie i załatwiali sprawę spokojnie. Mieliśmy okazję oglądać ekwipunek jednego z bardzo przystojnych oficerów, jakiegoś Ober, zapewne arystokraty, który jechał na front ciężko przestraszony, pierwszy raz. Był przerażony mrozami, chociaż puchowy, błękitny śpiwór nie powinien był go peszyć. Po południu gdzieś wyszedł, powiedział mamusi, że wróci wieczorem. Moi bracia i ich koledzy zaraz zabrali się do sprawdzania co ma w bagażu, przymierzali jego pasy z kaburami i w ogóle rozdokazywali się, jakby nie było wojny. Mama mało nie zemdlała. Błagała, żeby nie ruszali niczego, że lada chwila może wrócić, ale do moich braci te argumenty nie docierały. Żeby takich rzeczy uniknąć, mama pisała na drzwiach kartkę: „uwaga! tyfus!” i to pomagało. Przynajmniej Niemców nie musieliśmy już nocować.

Nowa wojna szykowała się ewidentnie. Żyliśmy strachem. Na szczęście istniał już kontakt z ojcem, który po wzięciu do niewoli przez Sowietów w nocy z 17 na18 września 1939 roku w okolicach Równego, czy Dubna i po siedmiu tygodniach wożenia po terytorium Rosji (w towarowych wagonach zaplombowanych, na mokrych liściach zamiast jakiegokolwiek posłania) – odnalazł się w Stalagu, w obozie jenieckim w Saksonii, w miejscowości Oschatz między Lipskiem, a Dreznem.

Pierwsza wiadomość – kartka od ojca przyszła w styczniu 1940 r. Równocześnie chyba poszukiwania przez Polski Czerwony Krzyż potwierdziły tę radosną dla nas wiadomość. Ojciec żyje.

Dość regularnie kursowały listy na specjalnych, podwójnych składanych blankietach, ocenzurowane przez władze niemieckie, wojskowe. Na połowie pisał tata, na drugiej odpowiadała mama. Istniały też takie karty otwarte. Zachowało się tej naszej wspólnej korespondencji ponad tysiąc dwieście, z sześciu lat wojny, z przerwami, gdyż poczta zamierała. O tym chciałabym bardziej szczegółowo napisać przy okazji powrotu ojca z niewoli.

Mama posługiwała się swoistym językiem – szyfrem. Pisała po polsku, bo było wolno, ale pewne wiadomości przemycała w taki sposób, że tylko ojciec mógł zrozumieć. Wiosną 1941 r. atmosfera AK zmieniała się z tygodnia na tydzień, że wszyscy oczekiwali nie wiedząc jednak dokładnie, co się stanie. Byliśmy w

najbardziej niebezpiecznym miejscu. W prostej linii parę kilometrów od Bugu i przestrzeń otwarta. Nie mieliśmy dokąd uciekać. Czekaliśmy więc na to, co się stanie.

22 czerwca pamiętnego roku nikt nie położył się spać. Sąsiedzi przenieśli się do rodzin, gdzie uważali, że będzie bezpieczniej. Pusto wokół i tylko my sami w naszym mieszkaniu na pierwszym piętrze, wgapieni w weneckie okno, podnieceni oczekiwaniem. Noc czuwania i zachwytu. Bezchmurne niebo zaczyna świtać. Coraz jest jaśnie, pierwszy brzask. Trzecia nad ranem. Nagle niebo zapełniło się płomienistymi kulami, które zakreślają parabolę i spadają na ziemię wołyńską wydając głuchy, mocny pomruk. Wybuchy już seryjne, najpierw coraz mocniejsze, potem jakby słabsze i z większej odległości. Patrzyliśmy na to zjawisko z takim niemym podziwem, że o strachu nikt z nas nie myślał. Widok wspaniały! Punkt obserwacyjny najlepszy z najlepszych. Trwało to cztery godziny.

Nie było odwetu. Sowieci zaskoczeni, a może celowo, puścili Niemców w głąb. A ci szli i szli bez oporu. Gdyby dali odwet, byłoby po nas.

Zrobiła się cisza, a mama siadła do pisania listu do ojca, do Oschatz używając takich słów:

> …to, co miało być, już przeszło, dzisiaj w nocy. Jest siódma rano, spokój i wszystko dobrze…

Ten spokój był jednak pozorny i na krótko. Efektem niemieckiej inwazji na ZSRR był wielki niepokój i wzmożony ruch taborów wojskowych, które z Zamościa, przez Hrubieszów, dokładnie przed naszym oknem przesuwały się na wschód. Kolumny samochodów z wojskiem, czołgi, działa pancerne, kuchnie polowe i cały transport potrzebny wojsku. Moi bracia, jak to chłopcy, przyglądali się z zainteresowaniem, może nawet z podziwem. Tego jeszcze nie widzieli w żadnej encyklopedii i na żadnym znaczku pocztowym. Julek siedział ciągle w oknie i liczył. Od czasu do czasu wykrzykiwał: *naliczyłem sześćdziesiąt, ale one jeszcze jadą*. I jechały.

Nie było już granicy na Bugu. Ożyły kontakty ludności cywilnej z obu stron. Kwitł przede wszystkim handel wymienny. Na wygon, gdzie było dużo miejsca dla ciężarowych samochodów, przyjeżdżały zagrabione ze sklepów towary takie, jak kołdry, koce. Kupowała je ludność za pieniądze niemieckie, okupacyjne lub wymieniając za żywność i bimber.

Nazwa „wygon” pewnie wzięła się stąd, że część nieużytków pokryta zieloną trawą i chwastami m.in. ptasim rdestem i gęsiówką, służyła do wypasu niezliczonych stad gęsi należących

do właścicieli domków jednorodzinnych, rozsiadłych półkolem. Miało to typowo wiejski charakter, malowniczy i archaiczny. Niektóre domy kryła strzecha ze słomy, przed wejściami ogródki mieniły się barwnością różnych kwiatów. Słoneczniki i malwy dominowały wysokością i pięknie odbijały kolory na białym tle ściany. Ten zaciszny zakątek, zamienił się w grząskie, błotne targowisko.



Ela – moja siostra Elżbieta z Fabijańskich Świdzińska, nasz psychiczny filar podczas okupacji

Druga część Pobereżan nadawała się tylko do zjeżdżania na

sankach. Duże, lejowate, kacze doły, mogły być pozostałością po pierwszej wojnie światowej, lub wyrobiskami gliny. Dziwne to było ukształtowanie. Dzisiaj teren ten jest zabudowany. Od Zamościa jadąc widzi się po obu stronach ciągłą zabudowę długiej, kilkukilometrowej ulicy. Dom, w którym przyszło nam przetrwać okupację i pierwszy rok, stoi i ma się dobrze. Jest zadbany, balkon otrzymał dekoracyjną balustradę i dzięki niej dalej wyróżnia się urodą, zgrabnej, przedwojennej architektury.

Od początku okupacji ludność cywilna była w różny sposób zastraszana. Łapano znienacka młodzież gimnazjalną, która nosiła obowiązujące przed wojną mundurki, a zimą płaszcze. Guziki u nich stały się powodem represji. Żandarmi prowadzili takiego chłopaka do punktu w urzędzie niemieckim, gdzie w brutalny sposób obcinano błyszczące guziki wraz z tkaniną, niszcząc w ten sposób jedyne okrycie. Spotkało to Witka. Byłam z nim wtedy i nie opuściłam biegnąc szybko za nim, eskortowanym przez dwóch Niemców. Szarpał się, więc go boleśnie przytrzymywali, jak boleśnie, świadczyły o tym pozostawione sińce. Po ceremonii obcięcia guzików – puścili. Ale ja już zdążyłam mamę zawiadomić i poszła po niego.

Dziewczęta nosiły granatowe berety ze znaczkami: książka i kaganek oświaty – odznaki noszone przez uczennice obowiązkowo. Na lewych rękawach mundurka dziewczęta i chłopcy nosili tarcze z numerem szkoły. Pole niebieskie

oznaczało – gimnazjum, pole czerwone – liceum. Te emblematy wyróżniały i identyfikowały uczniów pod kątem szkoły – nie miały, żadnej wymowy ani politycznej, ani patriotycznej. Ale okupantom tak przeszkadzały, że zdzierali je na ulicach, budząc lęk niewinnej młodzieży. Nikt nie wiedział, o co właściwie chodzi. Zapewne chodziło o zastraszanie i podporządkowanie ludności cywilnej. Szefem Gestapo był sadysta, powszechnie zwany Blondynkiem. Aresztowania, represje, znęcanie się coraz gwałtowniejsze, coraz bardziej okrutne spowodowały akcję partyzantów i likwidację tego okrutnika. Odwetem za karę były jeszcze większe aresztowania i znęcanie się nad zakładnikami.

Codziennie wywieszano listy, kilkunastu lub kilkudziesięciu osób rozstrzelanych, listy zakładników, którzy nigdy nie wrócili do rodzin, codziennie były jakieś obwieszczenia represjonujące ludność cywilną. Wreszcie w 1942 r. zaczął się pogrom ludności żydowskiej. W Hrubieszowie było bardzo dużo Żydów. W zgodzie żyły obok siebie trzy nacje wyznające inną religię. Katolicy mieli swój kościół parafialny, dawniej klasztorny pod wezwaniem św. Mikołaja, a na tej samej ulicy *vis -a- vis* prawosławni chodzili do pięknej cerkwi ufundowanej przez rząd carski w 1873 r. Żydzi wyznania mojżeszowego mieli swoją synagogę w centrum, niemal przy rynku. Mieszkali wszędzie, chyba tylko na przedmieściu Pobereżany ich nie było, gdyż ta część miała charakter swoisty, bardziej rolniczy niż miejski. Życie handlowe, oprócz ciągu sklepów na schodach, u wjazdu do Rynku (za

okupacji wielobranżowy, najelegantszy magazyn Gajzera) – skupiało się na placu targowym i w uliczce wąziutkiej z ciągiem jatek zwanych „sutki”. Właściwie mieściły się tam różne sklepiki i kolonialne i rybne.

Przypominały one handlowe dzielnice miast w południowych krajach Europy. Drzwi obok drzwi, żeliwne wzmocnione kutymi sztabami, zamknięte na kłódki. Nie miały witryn. Towar rozwieszano na hakach po otwarciu. Wylewał się na zewnątrz obfitością i różnorodnością. Można było kupić tam wszystko: od landrynek, lizaków, czekolady, korzeni, bakalii do koszyków, szczotek i wyrobów blacharskich.

Malowniczość tego zaułka niepowtarzalnego, jedynego w swoim rodzaju, uzupełniały postaci kupców żydowskich w czerwonych chałatach i myckach na rozwichrzonych włosach. Przeważnie byli to ludzie starsi. Kobiety – przekupki siedziały w innym miejscu, gdzie było kilka drewnianych straganów. Rozkładały tam worki pełne rozmaitych, kasz, grochu, fasoli, suszu owocowego, obok leżały warkocze cebuli i czosnku. Tę różnorodność płodów urodzajnej ziemi hrubieszowskiej uzupełniały ogromne słoje z ogórkami kiszonymi i… pijawkami. Zawsze mnie okropnie brzydziły. Obrazu tego nie zmieniła nawet zimowa pora roku, ponieważ na zimno była rada. Kupcowe handlowały na siedząco, pod spódnicą chowały żeliwne sagany pełne rozżarzonych węgli drzewnych, przynoszonych z piekarni i z takim „piecykiem”

wytrzymywały nawet kilkustopniowy mróz. Na głowach miały rude peruki, ręce chroniły rękawiczkami, które nie miały końców palców, żeby łatwiej było liczyć pieniądze.

Zapamiętałam także specyficzną woń, jakby swąd z węgielków mieszał się z zapachem śledzi w beczkach, zamorskich korzeni, rodzinnego makagigi i waniliowych karmelków. Dziwne, jak zapach może wtopić się w obraz i wtedy jedno z drugim jest już nierozłączne.

Kres temu folklorowi miasteczka położyli hitlerowcy najpierw tworząc getto, później dokonując zagłady ludności żydowskiej. Stało się to w 1942 roku. Wszystkim wyznawcom Mojżesza kazano się przenieść do dzielnicy zwanej Wójtostwo, która znajduje się po wschodniej stronie, za Huczwą. Opuścili więc swoje domy, według współcześnie wydanych opracowań (Grzegorz Rąkowski, Polska egzotyczna II, wyd. Pruszków 2000, s. 240), w maju i w czerwcu 1942 roku skupiono tam ok. 10 000 Żydów z całego powiatu. Wywożono ich potem do obozu zagłady w Sobiborze. Na hrubieszowskim kirkucie rozstrzelano ok. 500 osób.

Opustoszałe domy w Rynku i okolicy oddano miastu do zagospodarowania. W jednej z kamieniczek zorganizowano szkołę, jeżeli dobrze pamiętam, na cztery klasy na parterze. Tam uczyłam się do końca piątej klasy. Warunki były trudne, salki

małe, ciasne, ciemnawe i zimne. Na lekcje religii chodziliśmy do kaplicy grobowej przy szkolnym kościele św. Stanisława Kostki. Ziąb i wilgoć wyciągały nas na cmentarz. O, jak dobrze było w promieniach słońca pogrzać się pod murem, bodaj przez chwilę i pochrupać prażony groch.

Pewnego dnia na skwerze przed kościołem, zniszczonym kompletnie, pojawiła się ogromna góra mebli, raczej gratów starych i zniszczonych, z pociętymi i wyprutymi materacami, z których wysypywało się końskie włosie, sprężyny i trawa morska. Prócz kanap, stołów, krzeseł, foteli leżały gary, sprzęt kuchenny i na samym szczycie tego stogu może przeznaczonego do podpalenia, znajdowała się beczka drewniana, dość duża. Wyglądała normalnie, jak te w sklepach po śledziach, ale od wewnątrz miała gęsto nabite gwoździe. Mówili, że służyła do spuszczania krwi, aby przyrządzić koszerne jedzenie. Czy to prawda?

Codziennie patrzyliśmy na nią snując naturalnie różne wizje. Trzeba powiedzieć, że chociaż dzieci nie wiedziały co stało się z ludnością żydowską, bały się o swoje rodziny, o nauczycieli, o siebie. Lęk towarzyszył nam każdego dnia, przecież wieści były straszne. Ciągle ginęli ludzie.

Zimą 1943 r. Niemcy przeprowadzili wysiedlenia polskich wsi, na ich miejsce sprowadzając osadników niemieckich z różnych

państw europejskich. Działania tej akcji zostały zatrzymane dzięki ruchowi oporu, który w hrubieszowskim był bardzo silny.

Armia Krajowa od końca 1942 r. zaczęła przeprowadzać akcje bojowe w terenie. Nieszczęściem dla Polaków byli nacjonaliści ukraińscy podjudzani przez Niemców. Na tych południowo-wschodnich terenach oni stali się wrogami. W 1943 r., gdy pojawiły się bandy UPA przybywające zza Bugu, nasiliły się mordy polskiej ludności. Przeciwstawili się temu zbrojnie polscy partyzanci. Zaczęły się wzajemne akcje wyniszczające całe wsie, i polskie i ukraińskie. Apogeum tego nastąpiło w marcu 1944 r.

Z naszego okna widzieliśmy codziennie po kilka pożarów. Jasno robiło się w naszym mieszkaniu. Płonęły budynki mieszkalne, zabudowania gospodarcze, stodoły, plony, bydło i cały dobytek. Zabijano bestialsko kobiety i dzieci.

W kwietniu przywieziono Traczuka, polskiego gospodarza, naszego sąsiada, w którego domu bawiłam się często, bo miał córkę w moim wieku. Żona jego co niedzielę chodziła do kościoła na sumę. Czy był mróz czy słota, wkładała czarne karakułowe futro i tak paradowała przez Pobereżany. Traczuka wraz z innymi gospodarzami wzięto na tak zwany „forszpan” czyli przymusowe roboty transportowe. Musiał stawiać się wyznaczonego dnia, o podanej godzinie i przepracować na rzecz okupanta ileś tam godzin, dniówkę. Zdarzało się to regularnie i

nie było niczym podejrzanym. Tak się stało i tym razem, ale po raz ostatni.

Pojechało ich nie wiem, kilkunastu, może mniej, jak zwykle na określone roboty. Nie znam okoliczności, ani szczegółów i nikt o tym dotąd nie napisał, więc zrelacjonuję, co wtedy mówiono i co widziałam. Zwęglony kadłub ciała ludzkiego, brązowy i przypominający kłodę drewna. Nie było rąk ani nóg, ani głowy. Zawinięty w brudną płachtę leżał na podłodze w kuchni. Traczukowa rozpoznała męża po łacie przy zajęciu spodni, którą sama niezbyt starannie przyszyła. Przyciśnięty paskiem skórzanym strzęp ubrania stał się znakiem rozpoznania, identyfikacji. Człowiek bez głowy, nóg i rąk. Spalony w stodole w Masłomęczu. Warstwa ludzi, warstwa słomy i duża stodoła z drewna. Co za pochodnia! Co za głowa to wymyśliła – kto zbrodniarzem, kto katem?

Zginęli zwykli chłopi, rolnicy półmiejscy, półwiejscy. Pojechali do pracy z rozkazu okupanta, nie do walki. Nigdy nie słyszałam aby ktokolwiek później o tym mówił.

Ciśnie się jednak historyczne pytanie: ile było takich stodół, ilu spalono Polaków?



Wioska Gotów w Masłomęczu, skansen

Masłomęcz w województwie hrubieszowskim stał się słynny, ze względu na odkrycia wykopaliskowe sprzed 25 lat. Odkryto tu osadę Gotów z II-IV w. n. e. N. Pojawili się oni 180 lat po Chrystusie i właśnie tu, nad Huczwą zbudowali potężna cywilizację. Znali technikę powlekania metalu innym metalem, budowali piętrowe domy z kanalizacją, znali jedwab. Jedną z tajemnic Gotów jest dziwny rytuał pochówku, z wkładaniem do grobów niekompletnych ciał. Na odkrytym w Masłomęczu cmentarzysku, zdecydowaną większość ciał stanowiły kobiety i dzieci. Archeologowie określili tę pozbawioną męskiej populacji społeczność mianem – „Amazonki z Masłomęcza”.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

> Z rodzinnego albumu. Z duchami w tle.

> Z rodzinnego albumu. Stara szkoła.

> Historia w karetach zaklęta

Z rodzinnego albumu.

Z duchami w tle.



Rynek w Hrubieszowie na dawnej pocztówce

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Wszędzie było bardzo niebezpiecznie. Na wsiach, zwłaszcza w dworach polskich każda noc była niepewna, pełna lęku. Przychodzili zbrojni partyzanci po prowiant, ale nigdy nie było wiadomo, którzy na ten raz – swoi czy obcy, akowcy czy upowcy. Wezmą dobrowolnie czy siłą i czy z życiem zostawią?

Rodziny z dziećmi poprzenosiły się do miasteczka, zajmując puste domy po Żydach. Lila z dziećmi też się przeniosła. Wacek wynajął dla nich pół drewnianego domu, bardzo sympatycznego, przy ulicy Chełmskiej, koło starej szkoły. Oba zabytki stoją do dzisiaj. Sam dzielnie wytrzymywał. Jako właściciel majątku ziemskiego Wiszniów pod Hrubieszowem, był znakomitym gospodarzem i fachowcem. Dzięki niemu i my od czasu do czasu otrzymywaliśmy coś z dóbr. Bardzo dbał o rodzinę i szalenie kochał swoje śliczne dzieci – Ijunię (Marylę) i Eniego (Andrzeja).

Na naszym przedmieściu pojawiło się kilka rodzin przybyłych z Poznania i z Warszawy. Natomiast wyjechali Wojtysiakowie, właściciele domu, w którym mieszkaliśmy, chyba dlatego, że on był granatowym policjantem. Do ich mieszkania przyjechała gromadka dzieci państwa Andrzeja i Marii Komornickich i syn państwa Szułdrzyńskich z opiekunką, starszą, nobliwą panią. Przywieziono ich końmi z odległego o 17 km majątku Mircze. Najstarsza Enia – moja rówieśnica i czterech chłopców: Iko, Tunio, Boba i Zyg – w kolejności urodzenia – dostarczali mnie i bratu Julkowi wielu przeżyć i wspomnień.

Ot, chociażby niezwykle obchodzony dzień św. Mikołaja. Przyznam, że z taką tradycją, jeśli to tradycja, nie spotkałam się nigdy i nigdzie. Każde dziecko otrzymało jako prezent coś w rodzaju przebrania na głowę, charakteryzującego jego wadę, np. Boba dostał ośle uszy, pięknie wykonane z papieru i bibułki,

zapewne przez guwernantkę. Iko – długi język przyczepiany co brody, a Tunio – knebel. Co dostała Enia, co my oboje z bratem? – nie pomnę. Oczywiście wszystkie dzieci dostały woreczki z pierniczkami, Mikołajem i słodyczami domowej, dworskiej kuchni. Byliśmy uszczęśliwieni i pamiętamy to zdarzenie do dzisiaj.

W końcu sierpnia, w piękne lato 1943 r. przysłano po nas konie z Mircza. Pojechaliśmy na proszony obiad do dworu. Pewnie była to jakaś szczególna okazja, ale nie wiem jaka. Może imieniny pani Marii Komornickiej w Matki Bożej Częstochowskiej? – Podjechaliśmy pod duży, piętrowy budynek, który nie przypominał w niczym polskiego dworu, raczej miejską kamienicę. Powiedziała mi Enia, że stary dwór spalił się chyba podczas I wojny światowej, a to był budynek administracji majątku. Mieszkała tam, mimo niebezpieczeństwa, pani Kisielnicka, matka pani Komornickiej i ona była główną gospodynią, podejmującą małych gości. Zasiedliśmy przy dużym stole w obszernej jadalni na pierwszym piętrze. Otaczał nas ogród, park ze starymi drzewami, które zawsze uwielbiałam. W jadalni panował przyjemny chłodek, otwarte były szeroko okna. Wnoszono potrawy zaczynając podawanie ode mnie. Nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego co to znaczy i przy deserze popełniłam „faux pas", nakładając ogromną porcję kremu, który w wojennej rzeczywiści był czymś nadzwyczajnym i mogło go zabraknąć dla innych. Julek słusznie był oburzony i zawstydzony

moim brzydkim zachowaniem. W domu naskarżył na mnie do mamy i powiedział, że przyniosłam mu wstyd i więcej ze mną nigdy już nie pojedzie. I nie pojechał, bo nie było okazji. Czułam się okropnie. Jaka egoistka! To była nauczka na całe życie.

***

Dla wypełnienia czasu wieczorami, w okropnie długie, zimne zimy i aby mieć kontakt z ludźmi urządzało się „herbatki” bez herbaty. Piło się napar z suszonych skórek jabłkowych, wiecznie zalegających na kuchennej płycie, które dawały bardzo przyjemny zapach w całym domu. Nie daj boże, gdy się spaliły!

Gości częstowano niezmiennie sałatką jarzynową z dużą ilością gotowanych ziemniaków, buraczków ćwikłowych, marchewki i małej fasoli. Miała różowawy kolor bardziej lub mniej mocny, w zależności od ilości śmietany. Niektóre panie dawały ogórek kiszony, zdecydowanie zaostrzający smak. Luksusem okupacyjnym był fasolowy tort, polska specjalność od Warszawy po Hrubieszów. Robiło się też „cukierki” na czas świąteczny z mielonych płatków owsianych, masła, cukru i jeśli było kakao, obtaczano w tym specjale. Formowane na dłoni kuleczki wielkości orzechów włoskich, należało potrzymać na zimnie. Czegoż to ludzie nie wymyślili, żeby życie przybliżyć do normalności!? „Herbatki” sprzyjały kontaktom, zdobywało się wiadomości z frontu, czytało się podziemne gazetki. Były też

wieczory poezji, seanse spirytystyczne, czasem potańcówki przy patefonie i przedwojennych płytach. Chociaż w naszym domu była gromadka młodzieży, mama nigdy na tańce nie pozwoliła uważając, że na taką rozrywkę czas nie jest odpowiedni. Jednak pomogła Jasiowi Piątkowskiemu zorganizować bal karnawałowy w Czumowie, na który pojechała Ela.



Mama Eleonora de Schmieden-Kowalska w czasach panieńskich na balu w Czernichowie w stroju Greczynki

Przygotowania do tego balu nad balami odbywały się wieczorami u nas i trwały dość długo ponieważ robiło się ręcznie śliczne,

kolorowe, pracowite kotyliony. Czy dzisiejsza młodzież wie co to takiego? – Z lśniących wstążek zakupionych u Gajzera, z mini figurek gipsowych czy artystycznych główek wykonywało się identyczną parę ozdób różnych kształtów i pomysłów artystycznych, które wybierały panie osobno, panowie osobno. Los szczęścia lub pech łączył dwa identyczne kotyliony w parę, która obowiązkowo musiała przetańczyć „kotylionowego walca", a mogła i resztę tańców przetańczyć razem, jeśli się poszczęściło. Pamiętajmy jednak, że do dobrych manier wychowania towarzyskiego należało zatańczyć chociaż jeden taniec z każdą panną. Nie było więc „skrobiących pietruszkę", nie było też zwyczaju, aby panny tańczyły ze sobą lub indywidualnie. Te zwyczaje wzięły się już grubo po wojnie, chyba z braku partnerów. Kotyliony były atrakcją pełną emocji, zwłaszcza w momencie odkrywania losowego partnera i pamiątką, która zostawała po balu wraz ze wspomnieniami. Eli kotylion, bardzo piękny, długo plątał się w szufladzie, a przedstawiał diabełka z widłami na czerwono-czarnej wstążkowej rozecie.

W przeddzień balu smażono u nas pączki tzn. robiła je moja mama, a my niby pomagaliśmy. Ileż to było emocji z powodu ciasta, które najpierw nie chciało rosnąć, a potem rosło zbyt szybko. Nie wolno było chodzić, ruszać się, a nawet głośno mówić, bo to wszystko miało wpływ na udane lub nie udane, drożdżowe ciasto. Udało się wspaniale, choć lukier robiony w Czumowie zgrzytał pod zębami z powodu nowej donicy

(makutry), która puściła rdzawą mączkę.

Dzisiaj myślę, że te przygotowania dały nam więcej radości niż sam bal w pałacu, pełnym niemieckiego wojska. Tyle, że granica na Bugu zimą 1942 r. już nie istniała. A Jaś zaraz potem wyjechał do Lwowa na Politechnikę. Latem pojechała do Czumowa ciocia Milusia z Warszawy i my z Julkiem po kolei spędzaliśmy tam wakacje. Niestety, nie były już takie, jak te sprzed wojny.

Po tym sławetnym balu, zaczął u nas bywać kolega Jasia – Henryk Podwiński zwany Bocianem (może to był pseudonim partyzancki?). Pojawienie się tego drągala, blisko dwumetrowego, ożywiło na jakiś czas życie towarzyskie w naszym domu. Pełen humoru, dowcipnych pomysłów zabawiał nie tylko młodzież, np. wykorzystując swoją sylwetkę do chińskich cieni, które prezentował za pomocą szczotki do zamiatania podłogi, kapelusza i płaszcza. Czarne, okupacyjne zasłony na okna doskonale spełniały rolę ekranu, a przy migotliwym, nikłym świetle lampy naftowej, odbijająca się sylwetka dawała złudzenie ruchu. Heniek grał tajemniczego mężczyznę, który rósł w oczach, kapelusz balansował na kiju, a ramiona unosiła szczotka, oczywiście niewidzialna pod płaszczem. Gibał się, pochylał, rósł i malał karykaturalnie, a my pękaliśmy ze śmiechu. Od czasu, gdy wstąpił do AK słuch po nim zaginął Poszedł do lasu przygotowywać się do walki o Polskę. Podczaj tej wojny wyginęła nasza najwspanialsza młodzież.

Niepowetowane straty!

W tym czasie, w środku wojny, cała nasza czwórka uczyła się. To, mimo wszystko, były najspokojniejsze dla nas lata (1942-43) i kontakt z ojcem był nieprzerwany. Tata przysyłał nam swoje paczki z PCK (Portugalskiego Czerwonego Krzyża), w których bywało kakao, czekolada, kawa, chałwa, jakieś szprotki czy sardynki, coś z ubrania wojskowego np. ciepłe skarpety dla chłopców czy uniwersalne podkoszulki. Część tych prowiantów mama sprzedawała, aby uzyskać grosz na opłaty i opał, część zostawiała dla nas.

Kiedy było w miarę normalnie, mama starała się o kontakty towarzyskie dla starszego rodzeństwa. Przychodzili do nas z wizytą państwo Iwaszkiewiczowie z Poznania. Pani w wieku mamy, czyli średnim, bardzo miła, inteligentna i rozmowna oraz dwoje dorosłych prawie dzieci: starsza Jasia i młodszy nieco, bardzo przystojny Romek. Wtedy po podwieczorkowej herbatce, przygotowywało się okrągły stolik bez gwoździ, papier wycięty na kształt stolika z amerykanki do bilansów dla księgowych, na którym w krąg wypisane były ołówkiem wszystkie litery alfabetu, cyfry od 0-9, chyba rzymskie i dwa słowa na średnicy koła: „tak” i „nie”. Do tego konieczny był talerzyk średniej wielkości z zaznaczoną wyraziście strzałką.

Dorosłe osoby, przeważnie w liczbie 6-7 siadały ciasno wokół

stolika trzymając opuszki palców na odwróconym talerzyku. Zewnętrzne palce musiały stykać się ze sobą. Wybierano medium i zaczynał się seans spirytystyczny czyli wywoływanie duchów. Niesamowita atmosfera skupienia, kompletna cisza, prawie ciemno, tylko dwie świeczki choinkowe, konieczne do odczytywania odpowiedzi. Twarze pełne napięcia, ledwie rozpoznawalne. Ja w kącie na kufrze pełna strachu, ale i ciekawości.

– Duchu, duchu, przybądź. – Duchu, ducha, czy jesteś? – talerzyk zaczyna wyprawiać brewerie, jeździ po całym papierze, wreszcie trafia na słowo „tak”. – Duchu, duchu, kim jesteś? – „P I Ł S U D S K I”. – Duchu marszałka powiedz nam, kiedy skończy się wojna?

I tu następowała konsternacja, bo nigdy odpowiedzi nie były zadowalające, a wręcz później posądzano, że ktoś za mocno ciągnął za talerzyk. No i tak pewnie było.

Zadawano kolejne pytania śledzono odpowiedź, która wcale nie była ani jednoznaczna, ani łatwa do poskładania z poszczególnych liter. Czasem wszystkie odpowiedzi były tak zagmatwane, tak niezrozumiałe, że mama pojawiała się z zakamarków kuchni, bo nigdy nie brała w tym czynnego udziału i przerywała posiedzenie proponując np. kisielek. Oznaczało to: koniec seansu.

Była zima 1942 r. Wszyscy pragnęli zakończenia wojny i to jak najszybciej, na najbliższą wiosnę. Pamiętam dobrze, bo szok był niesamowity – duch wskazał „maj 1945″. Nikt nie uwierzył.

Za sprawą ducha dowiedzieliśmy się także kiedy wróci ojciec. Strzałka powoli, ale bardzo zdecydowanie i wyraźnie wskazała „14 czerwca 1945”. Znowu nie uwierzyliśmy, a nawet była dyskusja czy prawidłowo odczytano, czy to nie matactwo jakieś z talerzykiem. Było to przecież niemożliwe. Znowu szok, bo data była precyzyjna! – I cóż powiedzieć? – męczyliśmy duchy dla własnej niecierpliwości i z ciekawości, a i tak nie dawaliśmy wiary. Słusznie kościół katolicki zakazuje. Nie wolno tego czynić. Pierwszy to był i ostatni raz.



Jaś (Jan) Piątkowski ur. 1922 r.syn Józefa i Marii z de Schmieden-Kowalskich. Po śmierci matki był odpowiedzialny za gospodarkę Czumowa.



Lila (Maria Piątkowska). To jej ślub w Hrubieszowie w 1938 r. z Wacławem Banaszkiewiczem. Byli właścicielami Wiszniowa.

Jan Piątkowski miał w pałacu duży pokój, gosposię i czasem tam bywał. Studiował we Lwowie na Politechnice i został konstruktorem statków. Całe życie przepracował w stoczni gdańskiej, jako inżynier-konstruktor. Lila Piątkowska i Wacław Banaszkiewicz mieli pięcioro dzieci: Maryla – Maria (Ijunia), Andrzej (Eni), Zosia (zmarła w dzieciństwie), Maria i Jan. Żyje troje: Maryla w Bielsku-Białej, Andrzej w Gliwicach i Jan w Krakowie.
***

W małym Hrubieszowie świetnie pracowała kilkunastoosobowa grupa pracowników Polskiego Czerwonego Krzyża (PCK) ze wspominanym doktorem medycyny Władysławem Kuczewskim z Kryłowa. Eli zadaniem m.in. była opieka nad polskimi jeńcami przebywającymi zarówno w Oflagach, jak i w Stalagach niemieckich. Przychodziły listy z adresami konkretnych osób i tym zgłoszonym wysyłało się imienne paczki żywnościowe, zwłaszcza przed świętami katolickimi.

Organizowana akcja musiała mieć charakter konspiracyjny i angażować nie tylko osoby pewne i zaufane, ale i chętne do działalności charytatywnej. W skład każdej paczki wchodziły cwibaki, takie wysokokaloryczne suchary, które piekła prywatna

piekarnia na ul. Kilińskiego (dzisiaj budynek ten już nie istnieje). Ciasto z białej, pszennej mąki zawierało dużo jaj, było dość pulchne i słodkawe. Formowało się najpierw ogromny placek, potem kroiło w prostokąty wielkości standardowych sucharów, pieczonych dla wojska. Żeby pulchne ciasto nie puchło, trzeba było je równymi rządkami nakłuwać widelcem. Cała nasza rodzina chodziła pomagać do piekarzy przygotowywać je. Prace szły taśmowo i w ścisłej kolejności, partiami na bieżąco i do pieca. Moim zadaniem było nakłuwanie. Właziłam po stołku na wysoki, piekarski stół i dziurkowałam. Jednak Julek robił to dużo szybciej. I dobrze, bo tych sucharów było dużo. Piekarnia piekła je całą noc. A my gdzieś tak, przed północą wracaliśmy chyłkiem do domu uważając, żeby nie natknąć się na patrol niemieckich żandarmów.

Drugi raz w życiu przeżyłam godzinę policyjną narzuconą Polakom przez generałów: Jaruzelskiego i Kiszczaka. Ta ostatnia, w stosunku do okupacyjnej była groteską, tyle, że bardzo irytującą. W kolejnych wspomnieniach opowiem moje silne przeżycie pierwszego dnia stanu wojennego z grudnia 1984 roku.

***

W okresie zimowych ferii (były tylko jedne dwutygodniowe od 23 grudnia do 7 stycznia) przygotowywaliśmy konspiracyjne „Jasełka”. Teksty pisane specjalnie, z aluzjami i podtekstami

politycznymi, służyły pokrzepieniu serc. Schodziliśmy się na próby do domu prywatnego przy ul. Szpitalnej. Dom pamiętam, nazwisk nigdy nie znałam. Przedstawienia odbywały się w największym modernistycznym pokoju, w przedwojennej willi. Mieściło się tam około 20 osób i improwizowana scena.

Oboje z Julkiem umieliśmy nasze role i wiersze, ale przy próbach opanowaliśmy wszystkie inne teksty i we dwójkę potrafiliśmy odstawić całe przedstawienie. Do dzisiaj plączą się mi po głowie jakieś fragmenty. Dla przykładu: mała satyra na niemiecką biurokrację. Toczy się rozmowa: *…wiesz, gdzie drzewo wożą chłopy? – urzędników tam z pół kopy. Każdy jest potrzebny wielce. Jeden kłania się butelce, a gdy ujrzy na dnie pusto, bierze się za rybołóstwo. A gdy pogoda zawiedzie, siadł przed biurkiem po obiedzie i… najmilsza, najdroższa pani Wandeczko, pani moją jedyną sympatią.* A mój wierszyk zaczynał się od słów: *czy myślicie, że w lesie choinki nie będzie?*

Aktorką byłam marną, tylko wrodzona sumienność rekompensowała niedostatki talentu i pewnie tylko dlatego powierzano mi jakieś rólki. Zaowocowało to tym, że w dwa lata później sama zorganizowałam teatr podwórkowy u sąsiadów przy ul. Zamojskiej.

Układałam teksty nigdy nie napisane, uczyłam wymowy i gestów, żądałam dyscypliny, a wręcz posłuszeństwa, dobierałam role i

aktorów, urządzałam scenę i widownię oraz zapraszałam widzów.

_____

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

> Z rodzinnego albumu. Stara szkoła.

> Z rodzinnego albumu. Wojna – ucieczka za Bug.

> Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.

Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

Historia w karetach zaklęta

Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.



Dwór klasycystyczny, 1791, zw. Du-Chateau w Hrubieszowie, obecnie Muzeum, rys. Wrzesław Żurawski

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Kryzys ekonomiczny lat trzydziestych XX w. zmusił mojego ojca do przyjęcia propozycji zorganizowania Banku Spółdzielczego dla rolników i ziemian, w małym miasteczku powiatowym, w Hrubieszowie (ojciec był z zawodu finansistą).

Niestety, wiązało się to z opuszczeniem własnego domu w Zamościu. Widać, jednak była to konieczność, a posada dyrektora banku na tyle intratna, że dawała możliwość utrzymania rodziny na średnim poziomie. Zamieszkaliśmy wtedy w reprezentacyjnym miejscu, najpiękniejszym w mieście domu-dworze państwa Du Château, zajmując całą oficynę (wówczas

była tylko jedna po prawej stronie patrząc na front pałacu). Dom był samodzielny, parterowy, czteropokojowy z kuchnią i przedpokojem oraz z gankiem drewnianym od frontu. W mansardzie znajdował się uroczy pokoik z oknem wychodzącym na stronę południową na płaski dach nad dworską kuchnią. Do tego pokoiku wchodziło się po kręconych schodach prosto z jadalni. Schody były podparte drewnianym słupem malowanym olejną farbą, co dawało pewną śliskość. Używaliśmy go do skracania drogi i małpich wyczynów. Zawsze bracia byli szybsi ode mnie. Duży pokój – jadalnia posiadał okna na dwie strony zajmując całą szerokość budynku oficyny. Od strony zachodniej dwa okna na zieleń i podwórze i jedno wychodzące na front z klombem i okrągłym podjazdem, jak to zazwyczaj było w dworach polskich.

Dwór – pałacyk datowany w naczółku „1791” był może nawet wcześniejszy i zapewne budowany przez ostatniego starostę Hrubieszowa, miasta królewskiego, Franciszka Salezego Potockiego częściowo na terenie dawnego, drewnianego zamku królewskiego, zniszczonego przez Chmielnickiego w 1648 r. Przed dworem i wzdłuż ogrodzenia od ulicy 3-go Maja (wcześniej zwanej Pańską) rosły duże drzewa – jesiony i było dużo krzewów i zieleni otaczającego dwór spacerowego parku. We dworze mieszkali właściciele i mieściła się apteka z wejściem spod portyku. Po naszej stronie, w symetrycznym układzie dwa okna po bokach ganku. Sypialnia rodziców po prawej stronie od

przedpokoju i na lewo pokój jadalny. Moje ukochane okno na gazon było świetnym miejscem, z którego przyglądałam się życiu. Zasypiałam w małżeńskich łożach rodziców w obecności ukochanego ojca, który zawsze klęcząc obok odmawiał wieczorny pacierz. Nie pamiętam, by mi kiedykolwiek coś opowiadał, dlatego pewnie tak mało wiem o jego rodzinie.

Pokój moich braci sąsiadował przez ścianę z sypialnią rodziców, stąd świetnie wiedzieli co tam się dzieje. Niejeden raz bijatyki uprawiane nader często przez chłopców zmuszały ojca do interwencji. Słychać wtedy było w całym domu klap, klap… w jedną stronę, potem zalegała cisza i znów klap, klap – powrót, bez słów. Siostrę miałam okrutną. Nie pozwalała mi spać w pokoju przeznaczonym dla nas obu, straszyła mnie duchami, a jak beczałam, zawijała w kołdrę i znosiła na dół na kanapę. Wtedy był prawdziwy ryk i ojciec zabierał mnie z powrotem.

W przedziwny sposób z domem tym związało się kilka wątków mojego życia. Ale może po kolei.

Lata przedwojenne były syte i pełne radości, rytmiczne bo odmierzane czasem pracy ojca, na którego czekałam już w przedpokoju, zaraz po 15-tej. Takie było codzienne powitanie: ojciec unosił mnie wysoko, wysoko (miałam wtedy 4-6 lat), a ja pytałam o „losy” i „kaliptusy”, które zawsze dostawałam. Losy to były jakieś niewykorzystane druki reklamowe banku, a

„kaliptusy” – cukierki eukaliptusowe, moje ulubione do dzisiaj. W parę minut po przyjściu ojca zasiadaliśmy sześcioosobową rodziną do stołu, do obiadu. Zwyczaj wspólnych posiłków utrzymał się przez wszystkie wspólne lata. Przy dużym, dębowym stole stanowiącym komplet z innymi meblami rodziców, które ojciec sam projektował i dawał wykonać ze specjalną myślą o domu w Zamościu, każdy miał swoje stałe miejsce i swoją serwetkę obok talerza. Z rozczuleniem, po latach, odnalazłam ten zwyczaj w dalekiej Szwecji, w domu przyjaciół, u baronostwa Hermelinów, do których kilka razy jeździłam w latach 1967-1975.

Przed rozpoczęciem obiadu cała nasza czwórka według starszeństwa, ze mną na końcu, poddawała się torturom picia tranu, którego wprost nie znosiliśmy. Szykowano więc kosteczki chleba, solono czubeczek łyżki, zatykano nos i obiecywano np. pójście na ślizgawkę lub na kajak latem, byleby tran był wypity. Po takiej ceremonii rzucaliśmy się szybko do talerzy z gorącą zupą, by zabić oleistość i ten zapach… Po obiedzie, w zależności od pory roku i pogody wybieraliśmy się do ogrodu, w którym była altana z trejażu (treillage) obrośnięta pnączami i spacerowe alejki. Rosło dużo rzadkich gatunków krzewów, jak magnolie wielkokwiatowe, liany, octowce wówczas rzadkość i srebrne świerki. Ogród był zaplanowany i prowadzony jako spacerowo-dekoracyjny, z wysokimi szpalerami przycinanych grabów, alejami i wystawą kwiatową na południe ku śluzie na Huczwie.

Warzywnik był obok, odgrodzony. Właśnie na granicy parku i przy domu schodzącego warzywnika pamiętam tajemnicze wejście do lochów, o których moi bracia opowiadali dreszczem przejmujące historie. Śmiałkowie, którzy usiłowali zgłębić długość korytarza i kierunek, zawsze doznawali przykrych przygód: a to świece im zgasły, a to ktoś ich pobił lub nastraszył. Czy była to zwykła, dawna lodownia dworska, czy pozostałość piwnic starego zamku – trudno dzisiaj powiedzieć. Ślad po tym zaginął.

Stefan Du Château – profesor, konstruktor, architekt z Paryża wspominał podczas spotkania w Hrubieszowie, jesienią 1992 roku o swojej przygodzie, gdy młodzieńcem będąc wszedł w jakiś otwór lochów w rynkowych zakamarkach, a wyszedł gdzieś nad rzeką. Były więc z pewnością lochy pod częścią miasta, o czym wielu wspominało, jak chociażby Golejewski w „Pamiętnikach". Były, bo być musiały ze względu na konieczność ciągłej obrony przed Tatarami. Napadali i palili miasto 9 razy i dopiero Jan III Sobieski skutecznie położył temu kres w 1672 r.



Babunia, Maria Joanna Anzelmowa z Moszyńskich De Schmieden Kowalska z córkami. Siedząca (bez torebki) matka Teresy Żurawskiej.

Przypominam sobie zdarzenie z pierwszych miesięcy po opuszczeniu miasta przez wojska niemieckie w 1944 r. , rozpowiadane między ludźmi, którzy w środku słonecznego dnia zobaczyli starego człowieka wychodzącego z piwnicy wprost na ulicę. Był pergaminowo blady, przestraszony, słaby i zdeterminowany. Przechowywał się w lochach przez lata pogromu żywiąc się pewnie jabłkami i towarami, które tam magazynowano. Biedak, nawet nie wiedział, że wojna się dla tej

części Polski skończyła.

Te słynne podziemia mogą sięgać jeszcze XVI w. gdy Hrubieszów był warownią ze wspomnianym już zamkiem królewskim, założonym przez Władysława Jagiełłę w 1400 r. W imieniu monarchy rządy tą królewszczyzną, niezbyt cenioną, sprawowali starostowie. Toteż królowie zastawiali ją za grube pieniądze pożyczane od owych możnych starostów. O tym wszystkim dowiedziałam się już teraz, mając propozycję napisania referatu o dziejach Hrubieszowa w XIX w., gdy podlegał administracji carskiej Rosji. Sięgnęłam więc z zainteresowaniem do samych początków i szeroko otwierałam oczy dowiadując się, że był założony na wyspie otoczonej ramionami Huczwy, jej rozlewisk i bagien. Ostatnim prywatnym posiadaczem dominium hrubieszowskiego był sam ksiądz Stanisław Staszic, który właśnie tutaj założył pierwszą w Polsce spółdzielnię „Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie" (1816) uwalniając chłopów od pańszczyzny pół wieku wcześniej niż stało się to pod zaborami. Ziemia przeszła na własność chłopów, ale żeby to prawnie uczynić musiał najpierw nabyć ziemię na własność, a jako syn mieszczanina nie miał do tego tytułu. Starano się więc o to długimi zabiegami prawnymi, za pośrednictwem Ignacego Cetnera oraz jego córki Anny i wreszcie po latach doczekał się realizacji swojej idei. Chyba jednak we dworze nie zamieszkał, co najwyżej, mógł się w nim zatrzymywać lub na plebani, gdzie później urodził się Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).

Z dzieciństwa ostatnich lat przed II wojną światową pamiętam same dobre i szczęśliwe dni. Nasze spacery nad Huczwą, pływanie kajakiem hen daleko aż pod most kolejki wąskotorowej, kąpiel w bagnistej wodzie pełnej szuwarów, strzałki wodnej, nenufarów i innych zielsk, którymi oplatały się wiosła, a podczas kąpieli nogi grzęzły. Było tam malowniczo i jedynie w swoim rodzaju. Huczwa wiła się wśród łąk i pod zwisającymi nad nią starymi drzewami, którymi obsadzano kiedyś obrzeża ogrodów przydomowych na spadającym lekko stoku ulicy początkowo zwanej Młyńską.

Na spacery chodziło się po pachnących łąkach tak elastycznych, że odnosiło się wrażenie, że stąpa się po gumie – miękko i przylepnie. Tylko w okresach długiej suszy ziemia pękała tworząc szczeliny lub siatkę drobnych spękań. Były to wspaniałe torfowiska. Ojciec zabierał nas także na spacery do niezbyt odległego lasu, Bohorodycy. Podczas jednego ze spacerów, zauważyłam dziwne podenerwowanie ojca. Pierwszy raz wydał mi się zupełnie inny. Był zdenerwowany, wręcz wzburzony patrząc na rozbieraną w dali drewnianą cerkiewkę. Tumany pyłu co chwilę przysłaniały wyrazistość tego widoku. Słychać było trzask łamanego drewna i huk rzucanych belek. Tatusiu, dlaczego burzą kościółek? – zapytałam. Ci, to tylko wykonują polecenie, ale tamci nie mają racji – powiedział jakby do siebie ojciec. Nie rozumiałam wtedy kto są „tamci”. Ale więcej nie pytałam. Dzisiaj wiem, że był to wielki błąd polityczny, który

wkrótce odwrócił się zemstą i nienawiścią Ukraińców do Polaków – codziennie podpalane miasta i palenie okolicznych wsi. W latach okupacji dotkliwie to odczuwaliśmy. Zastrzelono np. doktora Kuczewskiego, który był opiekunem placówki PCK w Hrubieszowie, pomagał ludziom materialnie, leczył i chronił przed wywózką młodzieży do Niemiec na ciężkie roboty.

Z hrubieszowskich, przedwojennych lat pamiętam życie towarzyskie moich rodziców, oczywiście na miarę prowincji, ale bardzo ożywione. Mama należała do Sodalicji Mariańskiej – organizacji katolickiej skupiającej miejscową inteligencję i okoliczne ziemiaństwo. Organizowano tzw. „herbatki" z występami artystycznymi młodzieży, „opłatki" z choinką i śpiewaniem kolęd. Kiedyś i ja wygłosiłam wierszyk, ale z miernym efektem, bo zapomniałam dygnąć. Ile się potem w domu nasłuchałam od siostry! Kiedy indziej zapomniałam na początku powiedzieć autora czy tytułu – i znów była bura. Strasznie mnie to stresowało, a nikt nie pomyślał, że mam wrodzoną nieśmiałość, która mnie do dzisiaj paraliżuje w bardzo ważnych momentach życia. Pokonywałam samą siebie, ale ile to mnie kosztowało?... Przecież na całej mojej drodze zawodowej musiałam mówić stając przed ludźmi czasem niezwykłymi, słynnymi, już sama świadomość unieruchamiała mózg, a tu trzeba było trzymać się na nogach, nie wymachiwać rękoma, bez żadnego zbędnego gestu, dobierać odpowiednie słowa i przecież nie tylko polskie. Pokonanie tego wszystkiego i uruchomienie

szarych komórek z wiedzą natychmiast potrzebną – zawsze mnie drogo kosztowało i nigdy nie byłam z siebie zadowolona. Pochwał też nie było, czasem grzecznościowe podziękowania, z których naturalnie cieszyłam się, ale nigdy nie oczekiwałam. Moim spełnianiem się jest praca naukowa w bibliotekach, archiwach, poszukiwanie dokumentów, dochodzenie do prawdy historycznej, odkrywanie faktów dotąd nieznanych, pisanie o tym i opracowywanie w zaciszu domu czy pracowni muzealnej. Z wyborem zawodu trafiłam w dziesiątkę, chociaż nie była to pierwsza dziedzin z ulubionych. Jestem szczęśliwa i uważam, że swój czas wykorzystałam maksymalnie, nie marnując ani jednego dnia. Może to wszystko, co dał mi Hrubieszów ukierunkowało dalszą drogę, którą poszłam i dalej jeszcze idę. Taką prostą i przejrzystą, jak krajobraz znad Huczwy.



Mama (Eleonora Fabijańska) wącha różę

Najbardziej lubiłam okres przed Bożym Narodzeniem. Pierwszy śnieg, rześkie powietrze, wygwieżdżone niebo. Wieczorne zakupy w sklepach Hapońskiego i Baty, powrót do ciepłego domu z mnóstwem pakuneczków zawieszonych na ozdobnych sznureczkach, ładnie opakowanych. Jakiż Hrubieszów wydawał mi się wielkomiejski ze swoimi dziś nieistniejącymi, prywatnymi sklepami. Był ich cały szereg w zachodnim rogu dawnego rynku bardziej i mniej eleganckich, drewnianych witryn z perfumerią,

sklepem bławatnym i obuwniczym na czele. Cóż to była za radość i duma z posiadania pierwszych w życiu czarnych lakierek, kupionych specjalnie na ślub kuzynki Lili Piątkowskiej.

– O, właśnie widzę sznur sań dworskich, które zajeżdżały przed dwór z gośćmi weselnymi z odległego o 7 km Czumowa. Para Młoda podjechała najmodniejszym wówczas samochodem marki buck, na kołach o drewnianych szprychach, chyba jedynym jaki był w Hrubieszowie. Zdaje się, że właścicielem był pan Juliusz Du Château, gospodarz dworu. Przystanek z przebieraniem był u nas. Obserwowałam kreacje pań, fraki panów i usiłowałam sobie wyobrazić bal, na który mnie nie zabrano. Ale przy ślubie byłam ważna, prawie jak panna młoda. Niosłam długi, długi tren, a Dzidka Brojewska welon. Ach, co to był za ślub…! – Szereg par ustawionych w orszak zaczynał się przy ołtarzu, kończył pod chórem. Tata wbił się we frak, mama miała szytą specjalnie na tę okazję suknię z pięknego aksamitu w kolorze mchu z dodatkami z morelowej tafty. A więc kołnierz á la Maria Stuart, stojący, podbity taftą, dół sukni z trenem, udrapowany pasek zakończony był riuszką z tejże tafty. Te dwa kolory bardzo mi się podobały i stały się ulubionymi na całe życie. Uwielbiam też welury, miękkie aksamity, mięsiste i lejące, otulające sylwetkę.

Mama miała jeszcze drugą suknię, lżejszą, przygotowaną na wesele. Jedwab ciemno-szary w drobniutki biały wzorek. Przód był ułożony w draperię spiętą dużym, sztucznym srebrzystym

kwiatem. Nie pamiętam jej długości, ale chyba zgodnie z modą lat trzydziestych była długa i swobodna. Fryzura w głębokie fale na bok spadające. Włosy naturalnie srebrzące się (mama wcześnie osiwiała) długie, upięte w kok nad karkiem. Była taka ładna, ojciec był bardzo przystojny, postawny. Twarz spokojna, owalna o wysokim czole i niezbyt obfitym owłosieniu, zawsze uśmiechający się. Byli szczęśliwi. Siostra moja, Ela jako pierwsza drużka w różowej, dziewczęcej sukience suto marszczonej, podobnej do krynoliny, z dopasowanym gorsecikiem ozdobionym pękiem sztucznych, różowych różyczek i takimże wianuszkiem na czarnych włosach utrefionych przez fryzjera we francuskie loki, ściskała w dłoni torebeczkę – woreczek z tej samej tafty. Wszystkie te dodatki długo przechowywała w kwadratowym, eleganckim pudełku z ozdobnej złotym wzorkiem tektury, w którym przyjechały z Warszawy. Lili suknia chyba też była kupiona w Warszawie lub szyta. Biały atłas podkreślał jej kobiece już kształty, chociaż miała zaledwie lat osiemnaście. Długi rękaw, bez dekoltu, gładka i dopasowana z trenem. Welon dopasowany do kształtu głowy i delikatny, biały kwiat. Wacek oczywiście w czarnym fraku, wypomadowany i upudrowany. Był pedantem czystości i bardzo dbał o estetykę wyglądu. Był dużo starszy od Lili, miał chyba 30 lat i jako znakomity fachowiec, po rolniczych studiach zarządzał majątkiem ziemskim cioci Niusi, matki Lili. Nie taki mariaż marzył się cioci, a przede wszystkim nie zaraz po maturze. Ale małżeństwo okazało się trwałe. Mieli pięcioro dzieci (trzecie z kolei, maleńka Zosia zmarła w

niemowlęctwie). Czwórka udanych, zdolnych, zaradnych chowała się dobrze, troje jeszcze żyje: Maryla, Andrzej i Jaś. Wacek po ślubie usamodzielnił się, najpierw jako zarządca majątku w Trzeszczanach, a wkrótce jako dziedzic na Wiszniowie.

Wracając do pamiętnego ślubu, jako dziecko przeznaczone do niesienia trenu, ubrana byłam w lekko kremową jedwabną sukienkę z koronkowymi falbankami, wiązaną z tyłu na kokardę. Kokarda w kształcie motyla siedziała także na mojej czarnej łepetynie. Białe pończochy i czarne lakierki dopełniały całości. Dzidka miała błękitną, aksamitną sukienkę z karczkiem i szczypankami, na których przede wszystkim rzucały się w oczy kolorowe, haftowane pajączki. Takie sukienki ozdobione białym kołnierzykiem bebe ogromnie były modne i kupowało się je gotowe sklepach. Dzidka miała przywiezioną z Warszawy. Podczas ceremonii ślubnej odbywającej się wieczorem 2 lutego 1938 r. kościół św. Mikoła w Hrubieszowie, tonął w światłach i świecach. Wszystko, co było możliwe, jasno się paliło. Wypełnili go licznie zebrani goście weselni i zwykli gapie. Przejęta swą rolą, czułam się jak aktorka, na którą wszyscy patrzą. Starałam się więc nie ruszać, nie rozglądać i być poważną. Ile miałam wtedy lat? – a no pięć i pół. Po uroczystości w kościele weselnicy odjechali do pobliskiego Czumowa na wesele w pałacu. My, dzieci, zostaliśmy w domu. Odczułam z tego powodu wielką niesprawiedliwość, tym bardziej, że Dzidka została zabrana, a przecież obie byłyśmy rówieśniczkami. Takie to były pierwsze,

dziecięce gorycze, których nie zwierzyłam nikomu. Może nie miałam odwagi?

Z czasów przedwojennych pamiętam święta te największe i te państwowe, jak Konstytucji 3-go Maja bardzo uroczyście obchodzone. Również Boże Ciało kiedy to sypałam kwiatki podczas procesji w białej sukience i w wianuszku. Zachowało się amatorskie zdjęcie naszej czwórki siedzącej na stopniach ołtarza, który umieszczono na naszym ganku. Ostatnia Wielkanoc zapisała się w mej pamięci obfitością stołu wielkanocnego, którym było biurko taty stojące między oknami w jadalni. To było prawdziwie dworskie święcone. Na białym obrusie stały baby lukrowane i ozdobione skórką pomarańczową (cykatą), kiełbasa biała zwinięta w wianuszek utopiona w smalcu, szynka w całości gotowana, pasztet szpikowany paseczkami słoniny wyglądający jak tort, obok na tacach mnóstwo mazurków, na środku duży biały baranek z chorągiewką czerwoną i złotym krzyżem na niej malowanym i kolorowe jajka – kraszanki. Barwinek z ogrodu, pierwsze, wiosenne kwiaty (Wielkanoc w 1939 r. była 9 kwietnia) uzupełniały tę bardzo smakowitą kompozycję. Poświęcił nam to wszystko ksiądz prałat Melchior Juściński, z którym rodzice przyjaźnili się. Przez długie lata był proboszczem w Hrubieszowie.

Moje lalki też miały święcone: miniaturowe jajeczka, łeb świński, różową szynkę i mazurki – wszystko z marcepanu, przysłane

przez ciocię Milusię, mamy siostrę z Warszawy. W pamięci hrubieszowskich lat dziecięcych zostały także zabawy. Te w ogrodzie z braćmi i te bardziej przeze mnie lubiane z Olesiem Du Château np. w „panią i szofera” na starej platformie do rozwożenia piwa i wód gazowanych, która stała pod wiatą w podwórzu.

Chodziliśmy czasem do apteki i tam ciocia Gienia (ciocia Olesia – farmaceutka) dawała nam sok malinowy do okrągłych białych opłatków, w które apteki sypały zazwyczaj medyczne specyfiki. Nam to bardzo smakowało. Nawiasem mówiąc prywatna apteka rodziny państwa Du Château istniała w Hrubieszowie w tym dworze od 1850 r. od kiedy i dwór zaczął należeć do tej francuskiej rodziny, która wybrała Polskę na drugą swoją ojczyznę. Zajmowała dużą część lewego parteru z wnętrzami przesklepionymi i obszernymi. Rodzice Olesia i maleńkiego wówczas Jasia, państwo Maria z domu Mazaraki i Juliusz Du Château mieszkali do 1939 r. zajmując najpiękniejsze wnętrza od frontu i od ogrodu z wejściem przez taras. Urządzone były z ogromnym smakiem, stylowo i po dworsku z salonem na osi, w którym stał fortepian, z sypialnią po stronie apteki, jadalnią od kuchni w dobudówce o płaskim dachu i z pokojami dzieci od frontu. Przed tarasem rosły piękne magnolie, srebrne świerki i zataczały półkole grabowe szpalery. Góra dworu – piętro, w tych latach nie było zamieszkane.



Rodzina Fabijańskich: mama (Eleonora), Witek (Wiktor), tata (Józef), Julek (mały – Juliusz) i Ela (Elżbieta)

Kiedyś była większa wyprawa w tę część, którą zapamiętałam jako niezwykłą przygodę. Wydawało mi się, że znalazłam się w bajkowym świecie. Do dzisiaj jawi mi się jak sen. Ściany hallu wyłożone zszarzałą, biało lakierowaną boazerią, udawały pewną przytulność wnętrz. Stąd rozchodziło się mnóstwo pomieszczeń. Czułam specyficzny zapach staroci i rozsychającego się drewna. Przez uchylone drzwi ukazał mi się pokój dziecinny pełen starych, nieużywanych zabawek. Jednak ktoś tam utrzymywał

porządek, sprzątał, odkurzał, bo nie robiło to wrażenia rupieciarni, raczej kultu dla pamiątek po kimś. To był zaczarowany świat, do którego bałam się wejść. Podłoga skrzypiała za każdym stąpnięciem. Deski (zapewne kiedyś przykrywał je dywan) też były malowane. Zabawki cudowne, jakich nigdy w życiu nie widziałam, zdradzały zamożność domu i nie przypominały tych ze sklepów. Jak w „Laleczce z saskiej porcelany" czy „Wieszczce lalek", których wtedy jeszcze nie znałam, jawił mi się ciemnozielony kufer pełen pajacyków, kolombin, arlekinów, lalek w krynolinach i w białych peruczkach. Chciało się pociągnąć za sznurki, by zaczęły tańczyć, ruszać się i śpiewać. Była też mała scena dla kukiełek z jedwabną, rozsuwaną kurtyną. Inne zabawki leżały na półkach: żołnierzyki w strojach z okresu Księstwa Warszawskiego, dobosze, książę Józef Poniatowski na koniu. Szabelki, konie na biegunach i porcelanowe lalki o słodkich buziach z prawdziwymi włosami, przepięknie ubrane w koronkowe suknie – to było czarujące spotkanie z przeszłością.

Po trzydziestu latach, ten obraz spowodowany jasnym kolorem i zapachem rozsychających się boazerii, powrócił tak wyraziście w Petit Trianon Marii Antoniny, bardzo wówczas zaniedbanym (1969). Nasunęło mi się skojarzenie, jakiego doznałam w czasie zwiedzania. Oczywiście inny czas, inny poziom artystyczny, ale duch wnętrz ten sam, duch na wskroś francuski.

Zabawy z braćmi bywały łobuzerskie, szczególnie te w ogrodzie. Huśtanie się na lianach, które łącznie z drzewami tworzyły gąszcz na obrzeżu nad śluzą, wysokim i stromym, powodowały obrażenia, podrapania i sińce, za co obrywaliśmy niezłą burę.

Gorsza w skutkach była jednak wojna na grudy gliny, które najpierw jako amunicję pracowicie zbieraliśmy na stoku. Wysmarowani, zmęczeni wracaliśmy do domu, gdzie o dziwo (!) czekała tylko ogromna blaszana wanna i kąpiel po kolei od najmłodszego do najstarszego. Dzisiaj takie praktyki wydają się być super niehigieniczne. A jednak byliśmy czyści i zdrowi. Kąpiel w wannie nie była taka prosta. Studnia na pompę żeliwną, bardzo ciężko chodzącą, znajdowała się, po drugiej stronie ulicy. Trzeba było wodę nanosić wiadrami, nagrzać w kociołku. Wanna była duża, bez odpływu, dlatego wodę z niej wylewało się czerpakiem do zlewu. Konieczne czynności wykonywała z godnością, dziobata jak durszlak gosposia zwana Aleksandrową. Każdorazowe wyjście na ulicę obligowało ją do zmiany stroju na wyjściowy i poprawienia makijażu, a nakładała grubą warstwę różu, by choć trochę przykryć skutki strasznej choroby zwanej ospą. Zawsze przyglądałam się z niemałym podziwem, jak ona to szybko robiła.

Nasze czteropokojowe mieszkanie z kuchnią, przedpokojem i gankiem było urządzone prosto i skromnie. Dębowe meble z epoki modernizmu, robione na specjalne zamówienie ojca do

zamojskiego domu, bardzo pasowały i do tego również dworku. Zielona otomana z wysokim zapleckiem, pokryta obiciową tkaniną podobną do strzyżonego pluszu, w dotyku szorstkiego, stała na dużym, zielonożółtym dywanie. Obok kąt zajmował komplet salonikowy, skąpo tapicerowany i kryty wełnianym pasiakiem z przewagą zieleni, jakby nawiązującym do łowickich zapasek. Pod oknem frontowym stało mamy biurko z mnóstwem szufladek, a pod nim pokój miały moje lalki i nawet światełko elektryczne zrobił mi Witek z bateryjki od latarki. Na środku stał duży stół, normalnie sześcioosobowy, a w razie potrzeby rozsuwany na dodatkowe 4-6 osób. Między dwoma oknami od ogrodu warzywnego, znajdowało się ogromne biurko taty i w kącie kredens. W oknach wisiały muślinowe, białe firanki, podpięte po bokach. Nasze meble, wszystkie zostały zaprojektowane przez ojca, był utalentowany artystycznie i w młodości próbował i malować i rzeźbić. Wielka szkoda, że nie mógł z powodu I wojny światowej rozwinąć swych zdolności.

Babunia, Władysława z Taczanowskich Fabijańska wcześnie owdowiała, gdy syn miał zaledwie 9 lat, a młodsza córka Janina zaczynała chodzić do szkoły. Stało się to nagle, podczas świąt Bożego Narodzenia w Poturzynie, dokąd pojechali w mroźną i śnieżną porę do rodziny sankami. Dziadek, który siedział obok stangreta i zabawiał go rozmową po tej podróży, zachorował na gardło. Silna gorączka, brak lekarza, może i zlekceważenie czy zbagatelizowanie nagłej choroby spowodowały zgon. Został

pochowany w Oszczowie koło Poturzyna, bo tam była parafia i cmentarz. Próżno po latach na tym wiejskim cmentarzu szukaliśmy grobu dziadka. Nigdy wcześniej nikt mnie tam nie zawiózł.

Wspomnienia ukazują się w trzeci piątek miesiąca.

Poprzednia część wspomnień „Z rodzinnego albumu”:

https://www.cultureave.com/z-rodzinnego-albumu-zamosc/

O Czumowie:

https://www.cultureave.com/polskie-siedziby-rodzinne-czumow/